



23

O cynicznych wyborcach

38

Klimatyzatory chłodzą i szkodzą

100

Nowa Huta: życie po hucie

Temat tygodnia

- 12 Ryszarda Socha
Betonowanie wybrzeża: wieżowce z widokiem na morze

Polityka

- 16 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Konwencja PiS – zjazd sytych
20 Ewa Siedlecka
Senat – hamulec na walec
23 Sławomir Sierakowski
Wyborca upadły
26 Rafał Kalukin
Pokolenie Schetyny – polityczni pechowcy

Społeczeństwo

- 30 Jak młodzi zarządzają swoimi finansami opowiada socjolożka **Marta Olcoń-Kubicka**
33 Mariusz Sepioło **Polska wysycha**
36 Piotr Pytlakowski
Państwo bez tajemnic

Rynek

- 38 Joanna Solska
Klimatyzacja psuje klimat
42 Adam Grzeszak
Grzegorz Szczepański, szef Związku Firm Public Relations – o złym i dobrym piarze

Świat

- 46 Ewa Wanat
Ursula von der Leyen – Matka Niemka z lewicowej prawicy
49 Artur Domosławski
Lekcje populizmu z Ameryki Południowej
52 Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz
Jekaterynburg – zbuntowane miasto na Uralu

Nauka

- 55 NIE/PRAWDA, ŻE
Przegląd odkryć i przykryć
56 Rozmowa z **prof. Danielem Everettem**, lingwistą, który przetłumaczył Biblię na język Indian
59 Agnieszka Krzemińska
Fakty i mity o moczu

Historia

- 62 O życiu służących w dwudziestoleciu międzywojennym opowiada **Joanna Kuciel-Frydryszak**
66 Tomasz Targański
Po co nam historia – o książce profesora Andrzeja Nowaka

Esej

- 68 Adam Krzemiński
Rządzą nami chorzy

Ludzie i style

- 72 Olaf Szewczyk
Nowy wyścig księżycowy
76 Marcin Piątek **Grzechy boksu**

Kultura

- 82 Aneta Kyzioł **Zbyt dorosłe seriale dla nastolatków**
85 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo
86 Rozmowa z **Dannym Boylem**, reżyserem filmu o Beatlesach
88 Piotr Sarzyński **Starowiejski, Beksziński i Duda-Gracz – trzech muszkieterowie polskiej sztuki**
92 Rozmowa z **Frederickiem Forsythem** o jego najnowszej książce „Fox”
94 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 100 Marcin Kołodziejczyk
O Nowej to Hucie są słowa

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia
• 44 Przegląd informacji rynkowych
• 78 Afisz • 95 Passent • 96 Stomma
• 97 Tym • 98 Do i od redakcji • 99 Fusy
• 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Warto rozmawiać

Mamy w Polsce pierwszego Polaka prześladowanego za wiarę. Jest nim pan Tomasz, pracownik szwedzkiej firmy Ikea, który w firmowym intrancie wyraził pogląd, że trzeba fizycznie likwidować homoseksualistów. „Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość” – napisał, cytując fragment Starego Testamentu. „Obaj będą ukarani śmiercią, a ich krew spadnie na nich”. Opinia spotkała się z histeryczną reakcją firmy Ikea, która zwolniła pana Tomasza z pracy za sianie nienawiści do osób LGBT. W odpowiedzi w jego obronie stanął episkopat. „Gratulujemy Panu Tomaszowi odwagi w wyznawaniu i obronie wiary w codziennym życiu” – napisali biskupi, udzielając pełnego poparcia postulowanym przez niego rozwiązaniom. Z kolei minister Ziobro zasugerował, że firma, która wyrzuca z pracy katolika tylko dlatego, że popiera on fizyczną eliminację mężczyzn obcujących z innymi mężczyznami, „narusza porządek prawny i łamie prawa pracownicze”. A instytut Ordo Iuris powołał się na konstytucję, która każdemu gwarantuje prawo do wyrażania swoich poglądów. Zgadza się z instytutem i z ministrem Ziobrą, że z poglądami należy dyskutować, a nie wyrzucać z pracy tych, którzy je głoszą. W końcu zawsze można się w gronie biskupów



i rządowych specjalistów zastanowić, czy uśmiercanie osób LGBT na pewno jest pomysłem trafionym? A jeśli tak, to czy w obronie wiary od razu eliminować przewencyjnie wszystkich homoseksualistów, czy tylko tych przyłapanych na gorącym uczynku? Można też rozważyć, czy obrzydliwców tradycyjnie kamienować, palić na stosie, wieszać albo topić, czy może – biorąc pod uwagę, że żyjemy w XXI w. – wystrzeliwać ich w kosmos. A może ze względów humanitarnych ograniczyć się do zakuwania w dyby i batożenia?

Są to sprawy ciekawe i – jak pokazują reakcje osób popierających pana Tomasza – żywo interesujące polskich katolików, dlatego uważam, że warto o nich rozmawiać, i to nie tylko w intrancie, ale również w programach publicystycznych TVP i TVP Info. Zwłaszcza że propaganda tolerancji dla homoseksualizmu to już nie tylko problem Ikea. Niedawno przeciwko wyświetlaniu spotu dotyczącego dyskryminacji ze względu na orientację seksualną musieli protestować związkowcy w fabryce Volvo we Wrocławiu. Po pokazie wiele osób przyznało, że „jako osoby heteroseksualne czują się zagrożeni”, czemu moim zdaniem trudno się dziwić, zważywszy na to, że obrzydliwa promocja tolerancji dla osób LGBT odbyła się w zakładowej stołówce – miejscu, w którym wszyscy jedzą.



5 dni 4998 zł

Nowość

Hotel 5*
2 posiłki
dziennie

Cypr Północny dla koneserów

Relaksujący pobyt w pełnej atrakcji północnej części Cypru z wycieczkami wliczonymi w cenę wyjazdu.

✈ Wyloty Warszawa: 05/11/2019 i 23/02/2020

Specjalnie dla naszych gości wybraliśmy zakwaterowanie w jednym z najlepszych 5* hoteli na wyspie z bogatym zapleczem rekreacyjno-rozrywkowym, ulokowanym przy wspaniałej, piaszczystej plaży na wschodnim wybrzeżu wyspy, na północ od Famagusty. Dodatkowo wzbogaciliśmy program wyjazdu o 3 interesujące wycieczki: do Nikozji, Famagusty i Kyrenii w tureckiej części wyspy.



6 dni 3998 zł



Pełne
wyżywienie
na statku 4*

Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

✈ Wylot Warszawa: 27/03 2020

Zobacz Holandię w pełnym rozkwicie wiosny! Podróż rozpoczniemy w Niemczech, od zwiedzania katedry w Kolonii, a następnie popłyniemy w nasz rejs statkiem. Trasa wycieczki prowadzi przez piękne nadreńskie krajobrazy i historyczne miasta. Udamy się na spacer po uwiecznianym na pocztówkach starym, hanzeatyckim mieście Nijmegen oraz zwiedzimy port rybacki Enkhuizen. Odwiedzimy Rotterdam - miasto malarzy Złotego Wieku, a zarazem największe europejskie miasto portowe. Główną atrakcją rejsu będzie Amsterdam oraz park Keukenhof - słynny park kwiatowy, gdzie lepiej zrozumiemy, dlaczego Holendrzy tak wielką miłością darzą tulipany.



5 dni 4998 zł

Kolacja
Sylwestrowa
w cenie

Szampański Sylwester w Moskwie

✈ Wylot Warszawa: 29/12 2019

Zobacz Moskwę w jej zimowo-świątecznej odstonie i przywitaj Nowy Rok z kieliszkiem szampana Sowietskoje Igristoje w dłoni

Wybierz się do rosyjskiej stolicy, gdzie poznasz wspaniałą kulturę, sztukę i architekturę tego miasta. W radosnej atmosferze zbliżającego się Nowego Roku zobaczymy najbardziej interesujące atrakcje Moskwy. Odwiedzimy Plac Czerwony i znajdujący się tam Sobór Wasyla Błogostawionego, dobrze wszystkim znany ze względu na swe charakterystyczne, kolorowe kopuły. Będziemy podziwiać rosyjskie malarstwo w Galerii Tretiakowskiej, a także kunsztownie zdobione stacje moskiewskiego metra.

Minus plus



Jerzy Baczyński

Pojechali nasi dziennikarze na konwencję programową PiS do Katowic, żeby zobaczyć i posłuchać, jak partia władzy przygotowuje się do zwycięstwa wyborczego (czytaj s. 16). Dopiero po odsąceniu monumentalnego samochwalstwa, także tych wszystkich „zobowiązań do jeszcze bardziej wytężonej pracy dla ojczyzny” (prawdziwy cytat z prezesa), czy pompacyjnych zaklęć („jesteśmy dziś wyspą wolności, wartością dla całego świata”) można było odgrzebać główny przekaz. W triumfującej, coraz bardziej otłuszczonej partii władzy Jarosław Kaczyński próbował znowu wznicić ogień i bezwzględność rewolucji. Stąd komunikat, że rozpoczynająca się kampania wyborcza nie będzie zwyczajną rywalizacją polityczną, ale starciem z „ofensywą złą”. To zaś moralnie usprawiedliwia sięgnięcie po wszelkie środki i wszelkie dostępne zasoby, po każde oskarżenie, wymaga twardości i mobilizacji. Czołowi działacze partii chętnie podejmowali ten rewolucyjny ton: największy aplauz, oprócz kpin z opozycji, wzbudzały deklaracje ochrony Polski przed atakami (potężnych oczywiście) niszczących ideologii czy wezwania (zgromadzonej w Katowicach elity władzy) do obrony prostych ludzi przed arogancją i pogardą elit. W sumie: polityczny teatr, ważniejszy dla uczestników niż widzów.

Zaskoczonych, że tym razem w Katowicach PiS nie obiecał żadnej nowej pięćsetki, można uspokoić, że jeśli tylko przedwyborcze sondaże się zachwieją, we wrześniu na stół rzucone zostaną kolejne pieniądze. Uporczywa plotka głosi, że może to być np. „kieszonkowe plus”, czyli po 500 zł dla młodych ludzi, 18–26 lat, którzy w poprzednich wyborach w 70 proc. w ogóle nie głosowali. Na razie zostali zwolnieni z PIT, ale nie wiadomo, jak na taki warunkowy bonus zareagują. A to ogromny, bezcenny rezerwuár głosów. Istota planu politycznego PiS pozostaje wciąż ta sama: wygrać wybory i utrzymać społeczne poparcie dzięki odpowiednio rozłożonym bezpośrednim wypłatom (nazwanym transferami socjalnymi), którym towarzyszy „plus”, czyli dostarczany w pakiecie ideologiczny nadatek. Ten plus to projekt państwa kontrolowanego przez jeden ośrodek władzy; to odwołanie się do szczególnej misji historycznej PiS (dużo tego było na katowickich panelach); do wykraczającej poza konstytucję „woli narodu”, wreszcie „stanowiącego istotę polskości” katolickiego dziedzictwa. Taki specyficzny współczesny mikś sanacji z endecją. Części społeczeństwa to nawet pasuje lub jest kompletnie obojętne, części zdecydowanie nie.

Ta duża część, której „plus PiS” nie pasuje, ma na 100 dni przed wyborami poważny kłopot, bo brak jej własnej, silnej reprezentacji politycznej. A raz zaprowadzony ustrój „demokracji” będzie się samoutrwał, wzmacniał i powielał w kolejnych, coraz mniej konkurencyjnych wyborach. Więc sytuacja jest dramatyczna, co jednak jakoś słabo przebija w sojuszniczych rozmowach. Ostatnio znów wszyscy sobie grożą, że pójdą do wyborów osobno, czyli na rzeź. PSL goni za swoim elektoratem, który w większości przeszedł już do PiS, i wygląda na to, że część działaczy też już dojrzewa, aby tam pójść. W liberalnym SLD, który przez dekady grał rolę lewicy, widać łączenia się z młodzieżową lewicą Razem czy Wiosny musi budzić panikę – i vice versa. Więc PO też na razie nie ma wyboru: rusza w tym tygodniu z własną konwencją programową i „będzie

kontynuować rozmowy”. Ludwik Dorn, doświadczony praktyk, zauważa (s. 8), że w świecie partyjnej polityki nie decyduje bynajmniej chłodna komentatorska racjonalność, ale żywe osobiste emocje i twarde rachuby, także finansowe, więc żeby się nie denerwować i dać jeszcze opozycyjnemu politykom trochę czasu.

Na tzw. programy też będziemy musieli jeszcze parę tygodni poczekać. I PiS, i PO mówią o końcu sierpnia, żeby jeszcze czymś siebie nawzajem i wyborców zaskoczyć; programy SLD i PSL mają taką wagę jak sondażowe poparcie tych partii, więc raczej niewielką. Z tym że PSL dało się PiS-owi zagonić do końca z napisem LGBT i główny dziś punkt programu tej 100-letniej partii to radykalny „gejosceptyzm”. W ogóle eksponowany i intensywnie rozgrywany przez PiS temat LGBT dobrze byłoby w tej kampanii jak najszybciej zdjąć z agendy (np. jednoznaczną obietnicą PO wprowadzenia w przyszłości związków partnerskich), bo jest poza nim ze sto innych, fundamentalnych dla przyszłości Polski wyzwań, o których prawie się nie rozmawia. A warto, co powtarzamy, samemu wybrać pole starcia. To z kolei oznacza, że program opozycji, bez względu na to, w jakiej konfiguracji pójdzie ona na wybory, musi odnosić się nie do propagandowych wrzutek, ale – i to twardo – do realiów pisowskiej władzy. „Komponent antyPiS”, jeśli już go tak nazywać, to powinna być główna część kampanijnego przekazu opozycji. Tak oczekiwany „program pozytywny” nie wymaga bynajmniej męczącego wymyślania: właściwie każdy segment państwa aż prosi się o pilną diagnozę i choćby zarys programu naprawczego – do wyboru, do koloru dla każdej partii.

Parę tylko przykładów, o czym opozycja musi mówić dzień za dniem. Że w szkołach mamy dramat podwójnego rocznika, regres programowy, brak nauczycieli; że w sądach – dezorganizacja, wydłużenie terminów, groźba podważenia przez TSUE wszystkich nowych nominacji sędziowskich; służba zdrowia – kolejki, brak pieniędzy, wciąż te same niezrealizowane obietnice; gospodarka – wzrost napędzany głównie konsumpcją, stagnacja inwestycji, przyrost długu publicznego o 100 mld zł, dyrdymały planu Morawieckiego, czyli mityczne promy, milion elektrycznych aut, 100 tys. mieszkań plus, 8 elektrowni jądrowych, w praktyce – zero nowych autostrad przez trzy lata. W relacjach z Europą – marginalizacja polityczna, żadnych ważnych stanowisk, możliwe obcięcie funduszy wskutek naruszeń praworządności; ochrona środowiska – brak programu odchodzenia od węgla, paraliż inwestycji w odnawialne źródła energii, Polska śmietnikiem Europy. A TVP, a wojsko, a „dojne spółki Skarbu Państwa”, a wojna z samorządami? Jeśli o tym nie będzie mowy, to nie wiadomo, po co opozycja chce zastąpić PiS. Być może stan państwa rzeczywiście nie obchodzi większości wyborców, którzy stali się równie cyniczni jak politycy PiS (co rozważamy na s. 23), ale może trzeba ich najpierw przekonać, że nie jest tak, jak PiS opowiada na partyjnych zjazdach. Zostało 100 dni.

Jan Koza



Jak dołożyć partii?

Jeśli wierzyć premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, wybory odbędą się 13 października, chyba że prezydent Andrzej Duda się obrazi – bo tylko on zgodnie z konstytucją ma prawo ogłosić termin – i zmieni datę. Pewne jest, że do wyborów zostało więc około stu dni, sztaby wyborcze już pracują i dzielą swoje kampanijne budżety. Jak policzyła „Gazeta Wyborcza”, przynajmniej 1 mln zł przekazali w 2018 r. na fundusz wyborczy Prawa i Sprawiedliwości ludzie z zarządów państwowych agencji i spółek. Opozycja ma zdecydowanie mniejsze możliwości w tym zakresie, gdyż nie władza państwowymi zasobami finansowymi. Jak wynika z partyjnych sprawozdań finansowych, Jarosław Kaczyński ma też większe zdolności mobilizowania sympatyków PiS do wpłat na rzecz jego partii. Wiadomo, że bez pieniędzy trudno wygrać.

W wyborach mogą startować trzy rodzaje komitetów wyborczych: komitet wyborczy partii politycznej, koalicyjny komitet wyborczy, komitet wyborczy wyborców. Wszystkie muszą założyć specjalny fundusz wyborczy, czyli rachunek bankowy, z którego opłacają kampanijne wydatki. Partia może przelać na ten fundusz swoje własne zaoszczędzone na wybory pieniądze, wziąć kredyt, może też liczyć na datki od swoich sympatyków. Ci, aby wesprzeć partię, której



© M.S.

kibicują, muszą być obywatelami polskimi i mieć stałe miejsce zamieszkania w Polsce.

Ile można wpłacić? Łączna suma wpłat od osoby fizycznej w roku podwójnych wyborów nie może przekroczyć 25-krotności minimalnego wynagrodzenia za pracę, czyli w 2019 r. – łącznie 56 250 zł. Dodatkowo każdy sympatyzujący z daną partią wyborca może każdego roku wpłacić 15-krotność minimalnej pensji na bieżący rachunek partii, czyli 33 750 zł. Partia może przelewać pieniądze z rachunku bieżącego na fundusz wyborczy. Co ważne, wpłat na partyjny rachunek bankowy bieżący i wyborczy

można dokonywać jedynie czekiem rozrachunkowym, przelewem lub kartą płatniczą. Niedozwolone są wpłaty gotówkowe w kasie banku, a także w urzędach pocztowych. Można wpłacać przez cały rok, a numery kont znajdują się zazwyczaj na stronach internetowych partii.

Komitetom wyborczym nie wolno przyjmować korzyści majątkowych o charakterze niepieniężnym (np. darowizn rzeczowych, darmowych usług), z wyjątkiem darmowego rozpowszechniania plakatów i ulotek wyborczych oraz pomocy w pracach biurowych. Za darmo mogą się tego podjąć tylko osoby fizyczne. Dodatkowo PiS dopisał na koniec 2017 r. do Kodeksu wyborczego możliwość „nieodpłatnego udostępniania miejsc do ekspozycji materiałów wyborczych przez osoby fizyczne nieprowadzące działalności gospodarczej w zakresie reklamy”. To dlatego w ostatniej kampanii samorządowej i parlamentarnej widzieliśmy tysiące plakatów i banerów kandydatów PiS przede wszystkim na ogrodzeniach czy balkonach. Politycy PiS jeździli i prosili mieszkańców swoich okręgów wyborczych o miejsce na baner. Każdy sympatyk partii może zgłosić się do niej w kampanii i poprosić o baner do powieszenia na swoim ogrodzeniu. Jak pokazały dotychczasowe dwie kampanie, w których ten przepis obowiązywał, to popierający PiS mają więcej chęci do manifestowania swoich poglądów. (DĄB.)

Dublerzy dublerów

Zastąpienie posłów wybranych do europarlamentu okazało się wyzwaniem.



© LECH MUSZYŃSKI/PAP

Dublerzy masowo odmawiali, bo bycie parlamentarzystą tylko przez pięć miesięcy się nie opłaca. Ale zachęcają wyborców, żeby nie tracili cierpliwości i głosowali na nich w kolejnych wyborach. Autorem apelu jest m.in. **Marek Surmacz**, który w wyborach parlamentarnych w 2015 r. zrobił drugi wynik po Elżbiecie Rafalskiej. Do parlamentu się wtedy nie dostał, ale minister Rafalska o nim nie zapomniła, bo to na jego polecenie policjanci przynosili jej hamburgery do pociągu (2006 r.). Został komendantem głównym Ochotniczych Hufców Pracy. Nie zagrał tam zbyt długo miejsca. Ale znów doceniono jego kwalifikacje i tym razem zaczął się

realizować na stanowisku zastępcy głównego inspektora ochrony środowiska. Możliwość zajęcia miejsca po Rafalskiej w Sejmie najwidoczniej go nie ucieszyła. Na Twitterze poinformował, że mandatu nie obejmie. Ale nie wyklucza, że wystartuje w kolejnych wyborach parlamentarnych. I liczy na głosy wyborców. Podobne oświadczenie wydał Marek Wojciechowski, który miał zastąpić w Sejmie Elżbietę Kruk z PiS, ale zamiast krótkiej kariery na ul. Wiejskiej wybrał stabilną posadę radnego sejmiku wojewódzkiego w Lublinie. Wojciechowski nie był pierwszy na liście do zastąpienia posłanki Kruk. Przed nim objęcia mandatu odmówił również Grzegorz Muszyński. W efekcie okazało się, że Elżbieta Kruk jest nie do zastąpienia. Przynajmniej w polskim parlamencie. Kiedy na 82. posiedzeniu Sejmu przysięgę składało 16 nowych posłów, nie było wśród nich następcy posłanki Kruk.

W sumie z objęcia posady posła zrezygnowało dziesięć osób. Większość z nich wcześniej objęła mandaty w samorządzie, co gwarantuje im stabilne zatrudnienie do 2023 r. A w przypadku niektórych również wyższe zarobki. Zdzisław

Brezdeń, starosta oławski, miał zająć wolny fotel w Sejmie po Beacie Kempie. Gdyby się na to zdecydował, zarabiałby ok. 10 tys. zł brutto. Tymczasem jako starosta ma pensję w wysokości 13,7 tys. zł. W oficjalnym oświadczeniu Brezdeń tłumaczył, że na stanowisku zatrzymał go inne względy – jak na przykład modernizacja dróg, a swoją pracę zawsze traktował „jako służbę”. Nie sprecyzował jedynie, komu chciałby służyć, skoro wcześniej startował do parlamentu. – *Skala rezygnacji sporo mówi o pobudkach startu w wyborach parlamentarnych ludzi z PiS. A kłopot z obsadzeniem miejsc jest sygnałem, że partia ma po prostu krótką ławkę kadrową* – mówi poseł Andrzej Halicki (PO), który również przenosi się do Brukseli. Na jego miejsce do Sejmu wróci na krótko Alicja Dąbrowska. W szeregach Platformy z objęcia mandatu zrezygnował Jacek Kozłowski. W wydanym oświadczeniu napisał: „Parlament, w którym w ekspresowym tempie uchwała się szkodliwe ustawy, to parlament skarały. Dlatego nie obejmę mandatu posła, moje miejsce jest na ulicy, przed Sejmem, gdzie toczą się obywatelskie protesty”. (JULL)



Opowieści pełne złości

Na konwencji PiS w Katowicach prezes Kaczyński ogłosił, że w wyborach do parlamentu chodzi o to, by „powstrzymać ofensywę wielkiego zła”. Wiceprezes Brudziński poinformował natomiast dziennikarzy, że listy kandydatów na posłów PiS są już „na biurku prezesa” i niedługo władze partii je zatwierdzą.

W tym samym mniej więcej czasie PSL obwieścił, że po stronie opozycji powinny wystawić listy dwa bloki: centrowy, chadecki z PSL, oraz lewicowy, i że jest otwarty na rozmowy z PO o koalicji, ale bez lewicy. PO odpowiedziała, że PSL jest dla niej naturalnym partnerem, ale rozmawiać będzie o jak najszerzej koalicji sił demokratycznych, czyli z lewicą włącznie. Inna demokratyczna i lewicowa siła, czyli SLD, nieco wcześniej uchwaliła w referendum, że partia ta pójdzie do wyborów w koalicji, ale nie uchwaliła, z kim ta koalicja ma być. Jeszcze inna progresywna i demokratyczna siła ustami swego lidera Roberta Biedronia obwieściła, że jak dla niej to szeroka koalicja może być, a może być też lewicowa.

Już pojawiły się komentarze, że PiS pozostawia opozycję w tyle, urzędują konwencje programowe i dopina listy wyborcze, a po drugiej stronie nie wiadomo, kto z kim, czy w ogóle i na jakich zasadach. Przewiduję, że ten lament będzie narastał, a nawet sprzyjający opozycji publicyści i komentatorzy będą, ku uciesze pisowskich propagandzistów, wylewać żale i dawać ujście rozgoryczeniu na opozycję w ogóle i na tworzące ją partie – że oni nie mogą się zdecydować, a pisowski walec się rozpędza. Ja lamentować nie zamierzam, bo warto iść za radą Barucha Spinozy z „Traktatu politycznego”: „Gdy o sprawy ludzkie chodzi, nie należy płakać, śmiać się lub oburzać, ale rozumieć”.

W wyborach z 2015 r. postanowienie prezydenta o ich zarządzeniu ukazało się 17 lipca, a dzień później było wiadomo, że PiS bierze na listy kandydatów z minipartyjek Jarosława Gowina i Zbigniewa Ziobry, a SLD zawiązuje koalicję z lewicowym drobiazgiem, ale nie z partią Razem, która wystawia własne listy.

Tak było cztery lata temu, a teraz jest inaczej, a to dlatego, że rzeczywistość polityczna, czyli wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, nie dała kierownictwom partii opozycyjnych wyraźniejszych wskazówek, co czynić. Kaczyński ma łatwo; rzeczywistość mu podpowiedziała: „tak trzymać”, to i trzyma, ogłaszając obronę przed ofensywą zła. Gorzej mają kierownictwa zastępów szatańskich. I nie chodzi tylko o pytanie, co czynić, by wygrać z „dobrą zmianą”. To pytanie ważne, ale nie najważniejsze.

Najważniejsze z punktu widzenia kierownictw partyjnych jest pytanie, co czynić, żeby po wyborach nadal być kierownictwem. A praktycznie oznacza to, że jeśli w tej kadencji miało się klub poselski, to po wyborach nie może być on mniejszy niż przed nimi (w przypadku PO – 155 posłów, a PSL – 15); jeśli zaś w Sejmie klubu nie było (przypadek SLD i Wiosny), to po wyborach ma być, do czego potrzeba minimum 15 posłów. I na tym polega problem, a jest to przede wszystkim problem PO i Grzegorza Schetyny.

Z racji specyfiki ordynacji wyborczej do Sejmu, w której głosuje się na listę, oddając głos na konkretnego kandydata, płatnikiem niezrównoważonej siły uczestników koalicji jest zawsze największa partia. W 2014 r. PO, idąc w wyborach do Parlamentu Europejskiego, samodzielnie zdobyła 19 mandatów, a w tym

roku pod szyldem Koalicji Europejskiej – 14. Pozostałe 8 przypadło SLD i PSL.

W wyborach do Sejmu, gdzie okręgów wyborczych jest więcej (41 w porównaniu z 13 w wyborach do PE), problem staje się dużo poważniejszy, bo w okręgach bardziej mandatodajnych (metropolie), by uzyskać mandat z listy, która zebrała ponad 25 proc. głosów, wystarczy, by dany kandydat dostał 3,5–7 tys. wskazań, a w okręgach mniej mandatodajnych: 7–11 tys. Jeśli zatem ewentualni koalicjanci PO, których własny potencjał wyborczy mieści się w przedziale 5–7 proc., w każdym okręgu wystawią po jednym kandydacie, a wyborcy czując związek z daną partią oddadzą na niego głosy, to jest wysoce prawdopodobne, że każdy z koalicjantów po ogłoszeniu wyników z radością skonstatuje, że ma co najmniej 25 posłów – oczywiście kosztem PO.

W wyborach do PE kandydaci SLD włożyli do wspólnego kotła 16 proc. głosów, a wyjedli z niego 23 proc. mandatów. PO może się przed takim scenariuszem bronić, wyciskając na koalicjantach to, że każdy z nich nie wystawi żadnego kandydata w co najmniej połowie okręgów wyborczych. Po pierwsze jednak, koalicjantom trudno będzie się na to zgodzić, musieliby zakomunikować aktywistom swoich partii, że w połowie Polski mają być mięsem armatnim, dzięki wykrwawieniu którego politycy PO obejmą poselskie mandaty. Po drugie zaś, takie polityczne ustalenie jest wątpliwe ze względu na maksymalizację wyniku wyborczego całej koalicji. W okręgach, w których ewentualni koalicjanci PO nie wystawią kandydatów, ich aktyw palcem o palec nie stuknie w kampanii wyborczej, a znaczna część wyborców „partyjnych” może po prostu zostać w domach, bo dla nich uogólniony antypisizm to za mało – chcieliby głosować na swojego. To są wszystko trudne, dramatyczne i obciążone wysokim ryzykiem niepewności decyzje, które będą musieli podjąć twórcy koalicyjnego lub niekoalicyjnego przekładańca. Nie należy im pochopnie zarzucać ambicjonerstwa, krótkowzroczności czy partyjniactwa. Nic dziwnego, że układanie przekładańca idzie jak po grudzie – przy tej skali niepewności i ryzyka inaczej być nie może.

Jest jednak jedna partia, której przywódca działa poza granicami racjonalności politycznej. To Wiosna z Robertem Biedroniem. Uzyskała w wyborach do PE 827 tys. głosów. Jeśli dodać do tego 169 tys. głosów partii Razem, to rozwiązanie narzucało się samo – wzięcie przez Wiosnę na listy bliskich ideowo rozmowców gwarantowało około miliona zdeteminowanych ideologicznie wyborców, czyli wejście do Sejmu nawet przy frekwencji sięgającej 60 proc. Początkowo Robert Biedroń opowiedział się za startem samodzielnym, ostatnio zmienił zdanie. Jeżeli jest w tym jakaś racjonalność, to pozapolityczna. Stąd w środowiskach lewicowych głosy typu: „Robert, zakpiłeś z nas wszystkich”.

Decyzje opozycyjne o koalicjach i układaniu list będą zatem „opowieścią idioty pełną wściekłości i wrzasku”, nie dlatego, że polityków opozycyjnych mamy szczególnie głupich, ale dlatego, że taką pułapkę zastawiła rzeczywistość. Sorry, taki mamy klimat.



Po lewej: Ursula von der Leyen.
Od góry: Josep Borrell, Christine Lagarde i Charles Michel.



Gubienie ogona

Von der Leyen, Michel, Borrell i Lagarde – to będzie najbardziej federalistyczne kierownictwo Unii z możliwych. I przepis na powszechną frustrację.

W Brukseli karierę robi pojęcie autotomii. To mechanizm obronny, dzięki któremu zagrożona atakiem drapieżnika jaszczurka potrafi odrzucić swój ogon. Ten odciąga na jakiś czas uwagę napastnika, co pozwala jaszczurce uciec i przeżyć.

– *To wy jesteście tym drapieżnikiem* – mówi anonimowo Holender, wieloletni urzędnik Komisji Europejskiej. Przez słuchawkę nie widać, czy się śmieje, czy mówi poważnie. – *Wasze rządy tylko pożerają Unię, dając niewiele w zamian. Jego zdaniem „stara” Unia przygotowuje się na odrzucenie ogona i ucieczkę do przodu, czego dowodem ma być jej nowe kierownictwo.*

1 To będzie najbardziej federalistyczna drużyna z możliwych. Von der Leyen, Michel, Borrell i Lagarde – co ich łączy?

Wizja głębokiej integracji europejskiej, pochodzenie – poza Hiszpanem – z państw założycieli wspólnot, waluta euro i francuski – wszyscy mówią w tym języku. Ten ostatni łącznik wskazuje na

sternika całej czwórki, Emmanuela Macrona. Z podobnego klucza starej Unii szefa wyłonił również europarlament – będzie nim włoski socjaldemokrata David Sassoli.

Jeśli szukać zwycięzcy zeszlętygodniowego szczytu Rady Europejskiej, podczas którego wyłoniono kandydatury na stanowiska – odpowiednio – przewodniczących Komisji i Rady, unijnego „ministra” spraw zagranicznych oraz szefa Europejskiego Banku Centralnego, to był nim prezydent Francji. Charles Michel, jego polityczny przyjaciel, to powrót do belgijskiego, bardziej wycofanego – po Tusku – stylu na tym stanowisku. Z Christine Lagarde, odchodzącą szefową Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Macron rozumie się bez słów. Wyjątkiem jest Josep Borrell, szef hiszpańskiego MSZ, ale trzeba było jakoś zdobyć przychylność hiszpańskich socjalistów.

Niewątpliwie najciekawsza jest nominacja na nowego szefa Komisji. Po upadku kandydatur trzech kolejnych tzw. wiodących kandydatów – *Spitzenkandidaten*, na białym koniu wjechała von der Leyen. Zaraz po szczycie dominowało przekonanie, że ta nominacja była wynikiem misternej gry jej patronki Angeli Merkel. A pogłoski, że zgłosił ją Macron, były tylko fałszywą zasłoną, aby uspokoić państwa przejęte niemiecką dominacją w Unii. Otóż z dwóch niezależnych źródeł wiemy, że Macron zaproponował von der Leyen jeszcze w maju. I gdy nad ranem „skończyli się”

► główni kandydaci, przypomniana przez Francuza Niemka wydała się doskonałym wyjściem z kłinczu.

Dlaczego Macron zaproponował von der Leyen? Według specjalistycznego portalu *eurointelligence.com* z trzech powodów. Po pierwsze, są ideowymi bliźniakami – oboje uważają, że głębsza integracja Unii jest nieunikniona, nawet jeśli oznaczałaby porzucenie maruderów. Po drugie, w zamian za pozorne oddanie Niemcom Komisji Macron wprowadza swoją kandydatkę do instytucji, która z punktu widzenia dalszej integracji jest jeszcze ważniejsza, czyli do Europejskiego Banku Centralnego. Po trzecie, proponując von der Leyen, „dzieli i rządzi” w Niemczech. Wcisła klin w sam środek tamtejszej koalicji chadeków i socjalistów. I tym samym osłabia Merkel.

Czy to się uda? Kandydatów musi jeszcze zaakceptować europarlament – głosowanie już 17 lipca. Ale ich odrzucenie doprowadziłoby do bezprecedensowego kryzysu. A ten nie jest również w interesie eurodeputowanych. Jeśli przyjmimy więc, że sprawa jest przesądzona, Unię mogą czekać duże zmiany.

2 Najważniejsza z nich dotyczy Komisji. Unia jest zrzeszeniem równych – głos każdego państwa członkowskiego w najwyższym jej organie, Radzie Europejskiej, liczy się tak samo, mimo że w oczywisty sposób znaczenie polityczne i gospodarcze Słowacji i Niemiec jest różne. Słabszych przed dominacją silniejszych broni jednak prawo europejskie, na straży którego stoi właśnie Komisja. Nominacja Niemki stwarza więc niebezpieczeństwo, że na straży kurnika stanie lis.

Wbrew temu, co twierdzą niektórzy federaliści, Komisja nie jest rządem suwerennego państwa. Nie ma więc powodu poddawać wyboru jej szefa demokratycznej krytyce. Komisja ma egzekwować przestrzeganie traktatów i w tym sensie bardziej podobna jest z funkcji do naszego Trybunału Konstytucyjnego niż do rządu. Egzekwowanie traktatów wobec Słowacji (nasi sąsiedzi niech wybaczą ich nadużywanie) jest łatwe. Ale co, jeśli prawo złamie Francja lub Niemcy? – *Ani Juncker, Luksemburczyk, ani Barroso, Portugalczyk, poprzedni szefowie Komisji, nie radzili sobie z łamaniem prawa unijnego przez największych, jak Niemcy czy Francja* – twierdzi polski dyplomata w Brukseli. – *Choćby w sprawie deficytów budżetowych czy subsydiowania biznesu pod pretekstem wspierania innowacji czy ekologii. Liczenie na to, że von der Leyen będzie bardziej rygorystyczna, graniczy z naiwnością.*

Z tego samego powodu traktowanie porażki *spitzenkandidatów* jako dowodu na tzw. deficyt demokracji w Unii wydaje się bezpodstawne. Chyba że uznajemy już europarlament za suwerenną władzę ustawodawczą. Ale dlaczego Rada, w której zasiadają szefowie państw, miałaby być mniej demokratyczna niż europarlament? Szczególnie z polskiej perspektywy to niebezpieczny pomysł, aby te dwie instytucje równoważyć. Chociażby dlatego, że w europarlamencie duże państwa mogą bez problemu przegłosować mniejsze.

3 Dowodem na deficyt, ale realizmu, jest natomiast sposób, w jaki obie strony sporu politycznego w Polsce przyjęły wybór nowych liderów Unii. Premier Morawiecki stwierdził, że wszystkie nasze cele zostały zrealizowane, czyli... – zablokowaliśmy wybór Fransa Timmermansa na szefa Komisji. Uderza przy tym niezrozumienie istoty działania instytucji ze strony PiS. Tak jakby to Timmermans był personifikacją całego zła z perspektywy „dobrej zmiany”. Wszystko w myśl zasady: nie będzie człowieka, nie będzie problemu. Już pomijając fakt, że Timmermans prawdopodobnie pozostanie wiceszefem Komisji, polskiemu premierowi nie przyszło do głowy, że unijny sprzeciw wobec łamania polskiej konstytucji przez polski rząd nie wynika z widzimisię jednego Holendra, tylko jest efektem działania instytucji. I że jeśli nie Holender, to będzie się tym zajmował ktoś inny.

Ale jest też drugi, bliższy opozycji, biegun tego polskiego myślenia: że unijne instytucje są jakąś biurokratyczną utopią. Że działający w nich ludzie odrzucają swoje środowiskowe interesy i kierują się wyłącznie prawem i dobrem Unii. Z tej perspektywy wybór von der Leyen, czarującej swoich rozmówców, nieprzeciętnie

inteligentnej matki siedmiorga dzieci, która w dodatku marzy o „Stanach Zjednoczonych Europy”, musi się jawić jako sukces. Z tej perspektywy jej narodowość, przynależność partyjna nie mają znaczenia, bo samo przyjęcie brukselskiej posady niejako uświęci ją i uczyni trybem w instytucji.

Całkiem niedawno powiedziała ona w wywiadzie dla „Die Zeit”: „Wyobrażam sobie Europę moich dzieci i wnuków nie jako luźną unię państw ograniczonych narodowymi interesami”, ale właśnie jako jedno państwo. Tylko czy ono już nie będzie promować określonych interesów, bo stanie się ową biurokratyczną utopią? A jeśli będzie, to jak i kto te interesy określi?

4 Skład nowego kierownictwa Unii prowokuje dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze, jakiej Unii chce (potrzebuje) Polska? Po drugie, jaka Unia jest możliwa? Gdzieś między odpowiedziami powinno być rozwiązanie optymalne, do którego każdy odpowiedzialny rząd RP ma obowiązek dążyć.

Według obecnego rządu ideałem byłaby Unia czterech wolności. Taka „strefa wolnego handlu plus”: możemy handlować, podróżować, absorbować środki unijne (bo to przecież jest w zasadzie w interesie Niemiec i Francji), ale już niekoniecznie przyjmować uchodźców czy zalecenia co do praworządności. A jeśli takiej Unii nie możemy dostać, to wychodzimy.

A jaka Unia jest możliwa? Jak pisze brukselski think tank Bruegel, jej zarys jest już w zasadzie widoczny. W zachodnich stolicach coraz częściej słychać, że rozszerzenie Unii na wschód było błędem. Ten pogląd zyskał na sile po ostatnim szczycie, na którym Polska i pozostałe kraje wyszehradzkie ograniczyły się wyłącznie do blokowania. Macron i zwolennicy jego wizji głębszej integracji zdają sobie sprawę, że zasadnicze reformy, które wymagają otwarcia traktatów, nie odbędą się bez naszej zgody. Budują więc nową Unię, poza traktatami, opartą na strefie euro.

Sama Polska, nawet wsparta przez Wyszehrad, nie jest w stanie zatrzymać takiego scenariusza. Ale jeszcze kilka miesięcy temu zupełnie realny wydawał się sojusz z tzw. Nową Hanzą, nieformalną grupą państw z północy Europy, stawiającą na większy liberalizm w gospodarce. Oba te obozy zdawały się do Unii podchodzić w sposób funkcjonalny: zamiast spierać się o wymaginowane państwo europejskie, trzeba dokończyć budowę jednolitego rynku, szczególnie w usługach. I nie pozwolić wielkim państwom na łamanie jego zasad.

5 Do sojuszu jednak nie doszło. Dla Hanzy nie do zaakceptowania okazały się nasze problemy z praworządnością. Z kolei polski rząd, który promuje własną ideę Unii Narodów 2.0, w wielu aspektach zbieżną z celami Hanzy, najwyraźniej nie zamierza dzielić się przywództwem w tym obozie. Efekt jest taki, że ani Grupa Wyszehradzka, ani Nowa Hanza nie będą miały żadnego przedstawiciela w nowych władzach Unii, choć potencjalnie powinny stanowić realną przeciwwagę dla Macrona i jego zwolenników. PiS-owi nie udało się zdobyć nawet jednego z 14 stanowisk wiceszefów europarlamentu.

Ta nienaturalna dominacja federalistów będzie jednak tylko pogłębiać ich własną frustrację. W końcu brak wystarczających postępów integracji, blokowanej w starych ramach Unii przez maruderów, napędzi myślenie pozasystemowe – że niezbędna jest nowa Unia, nowe życie. I w tym celu będzie trzeba odrzucić ogon. Nie stanie się to z dnia na dzień. Porzucony ogon jaszczurki rusza się jeszcze przez jakiś czas. Wciąż płynąć będą unijne fundusze, polscy europarlamentarzyści nadal będą pobierać diety, a premierzy RP – uczestniczyć w szczytach Rady Europejskiej. Ale najważniejsze decyzje będą już zapadać gdzie indziej.

Autonomia oznacza wysokie koszty dla organizmu, powolniejszy wzrost, czasowe otępienie i obniżkę statusu. Ale federaliści mogą uznać, że to niezbędne dla przetrwania.

ŁUKASZ WÓJCIK

O Ursuli von der Leyen piszemy na s. 46.



© REUTERS/FORUM

Grecja w prawo

Grecy odebrali władzę z rąk Koalicji Radykalnej Lewicy, Syriza, i przekazali ją centroprawicowej Nowej Demokracji. Wygrała z przewagą 8 pkt proc., z takim poparciem może rządzić bez koalicjanta. Wśród objaśnień porażki Syriza lub – jak kto woli – zwycięstwa Nowej Demokracji jest i takie, że obywatele chcieli, choćby symbolicznie,

zakończyć dotkliwy kryzys, lata zaciskania pasa i bolesnych, niektórych rujnujących reform oszczędnościowych, dodatkowo pisanych pod dyktando zagranicznych pożyczkodawców, domagających się dyscypliny budżetowej i cięć wydatków socjalnych. Lider zwycięzców i nowy premier **Kyriakos Mitsotakis**, z politycznej dynastii, obiecuje teraz pakiet rynkowych rozwiązań, obniżenie podatków (dochodowych dla rolników

o połowę, składek emerytalnych o jedną czwartą itd.) oraz łatwiejszy dostęp do kredytu, co ma rozruszać rynek pracy i dać zatrudnienie zwłaszcza młodym.

Paradoks polega na tym, że za kadencji byłego szefa rządu Aleksisa Tsiprasa kondycja gospodarki się poprawiła, Tsipras ratował kraj przed bankructwem, teraz jest wzrost. Ale po drodze zraził swoich wyborców. Tych o prawicowych inklinacjach m.in. ustępstwem na rzecz Macedonii Północnej w godnościowym sporze o nazwę tego kraju. Lewicowych zbyt dużą liczbą decyzji łamiących ideologiczne pryncypia, w tym sojusze z nacjonalistami i zignorowanie wyniku referendum z 2015 r., w którym 61 proc. głosujących Greków nie zgodziło na warunki międzynarodowej pomocy. Lewa strona jest w Grecji bardzo mocna, legalnie działa partia komunistyczna, i z tej flanki Tsipras atakowany jest za to, że stał się uległym pieszczochem brukselskich salonów i wdrażał ich neoliberalne instrukcje, np. rozpoczął szeroką prywatyzację. Stąd oskarżenia nie tyle o populizm czy kierowanie się racją stanu, co o oportunizm i koniunkturalne przejście do centrum, zarzuty niszczące dla każdego, kto nazywa się radykałem.

Krok do bomby?

Iran rozpoczął wzbogacanie uranu ponad poziom uzgodniony w umowie nuklearnej z 2015 r.

Wten sposób zwiększa presję na pozostałe strony umowy, aby przestrzegały swojej części. Przewiduje ona, że Iran zamyka program nuklearny w zamian za zniesienie sankcji gospodarczych. Ameryka przywróciła je ponad rok temu, pośrednio zmuszając do tego również europejskie firmy. Nowy poziom wzbogacenia – 4,5 proc. – Irańczycy wciąż mogą uzasadnić zapotrzebowaniem na paliwo do elektrowni jądrowej w Buszehrze. Ale już zapowiedzieli, że jeśli sankcje pozostaną, co 60 dni będą przyspieszać wzbogacanie, aż do 20 proc., czyli poziomu sprzed umowy nuklearnej. O ile droga do 20 proc. jest czasochłonna, to powyżej, aż do poziomu bombowego 90 proc., bardzo przyspiesza.

Międzynarodowe napięcia wokół Iranu rosną nieprzerwanie od maja. Ostatnie zaostrezenie nastąpiło z powodu zatrzymania w Gibraltarze tankowca z irańską ropą, która miała płynąć do obłożonej sankcjami Syrii. Iran zaprzecza, ale jednocześnie nie kryje rozczarowania, że statek zatrzymali Europejczycy – cała strategia stopniowego podwyższania poziomu wzbogacania uranu wydaje się obliczona na złamanie zachodniej jedności.



© APEAST NEWS

Wojny podwodne

Śmierć marynarzy okrętu podwodnego prześladowuje Władimira Putina. W 2000 r. katastrofa „Kurska” była pierwszym kryzysem, z którym nowy wówczas rządca Kremla nie umiał sobie poradzić. 118 marynarzy, których rosyjska flota skazała na śmierć, do dziś pozostaje wyrzutem sumienia. Teraz w równie dramatycznych i tajemniczych okolicznościach w głębinach zginęło **14 wysokich rangą podwodniaków**; dwóch z Gwiazdą Bohatera Rosji, najwyższym rosyjskim odznaczeniem.

Oficjalnie był to pożar jednostki naukowo-badawczej. Władze nie mówią jakie, media, że to okręt „Łoszarik”. To postać z radzieckiej kreskówki, konik z kolorowych kulek (łoszaźdź to koń, szarik to kulka). Przekrój „Łoszarika” pokazywany przez wojskowe portale ujawnia siedem sfer tworzących wewnętrzny kadłub. Dają one większą niż

tradycyjny cylinder wytrzymałość okrętowi, którego zadaniem jest penetracja głębin znacznie większych niż te, na których pływają okręty bojowe. Jedna z kul prawdopodobnie mieści reaktor atomowy.

Co mogli badać Rosjanie? Od bardziej wytrzymałych materiałów, przez tajne napędy, po nowe sensory hydroakustyczne. Według resortu obrony jednostka prowadziła pomiary głębokości i konfiguracji dna. Po co? Żeby opracować nowe trasy przejść dla okrętów bojowych. Globalna rywalizacja mocarstw toczy się znowu na wodzie i pod wodą. Okręty podwodne – wraz z doktryną ich użycia – są znów zasobem strategicznym. Amerykanie w ekspresowym tempie odnawiają flotę, chcą budować trzy okręty rocznie. Chiny mają już więcej okrętów podwodnych niż USA. Rosjanie nie chcą pozwolić, by jak w czasie zimnej wojny Zachód zablokował im wyjście z Arktyki na Atlantyk. Ofiarami tej podwodnej wojny byli marynarze z „Łoszarika”.

Morze betonu

Niskie oprocentowanie bankowych lokat zmienia krajobraz nadmorskich kurortów. Ani się obejrzymy, a nie poznamy naszego wybrzeża – zabetonowanego jak w Hiszpanii, Egipcie, Bułgarii.

Deweloperzy złapali wiatr w żagle. Przy promenadach i plażach, niczym grzyby po deszczu, rosną condo- i apartotele, w których pokoje i apartamenty wykupują nie tylko więksi inwestorzy, ale i zwykli ludzie. Ci ostatni zamiast mieszkania na wynajem. Deweloperzy wabią „gwarantowanymi” zyskami – rocznie 6–10 proc. wartości inwestycji za to, że ich firma będzie zarządzać lokalem klienta. To trafia do przekonania.

Według raportu „Rynek hoteli i condohoteli w Polsce 2018”, przygotowanego przez firmę Emmerson Evaluation specjalizującą się w wycenach nieruchomości, w trzecim kwartale 2018 r. nad morzem funkcjonowały 104 condo- i apartotele (27 w województwie pomorskim i 77 w zachodniopomorskim). Tylko do 2020 r. ich liczba ma wzrosnąć o połowę (50 obiektów – 44 na zachodnim i 6 na wschodnim wybrzeżu, w sumie ok. 7 tys. pokoi i apartamentów).

W stronę gwiazd

Już dziś trudno poznać Międzyzdroje, które żeglują od kurortu w stronę city. Gdy licząca ćwierć miliona mieszkańców Gdynia, o średnio wysokiej zabudowie, dorobiła się kontrowersyjnego Sea Towers (141 m), 5-tysięczne Międzyzdroje obwieściły, że będą mieć Diamonds Tower – najwyższy apartamentowiec nad Bałtykiem, o 4 metry przewyższający ten gdyński. Z projektantką mody Ewą Mingę jako mieszkanką



najwyższego piętra. Pomysł nie doszedł do skutku, ale idea drapaczy chmur chwyciła. Przy Promenadzie Gwiazd, za hotelem Amber Baltic, na terenie dawnych kortów tenisowych, spółka Handwit postawiła 11-kondygnacyjny budynek w kształcie litery C. Pierwotnie miał być niższy, bliższy Amberowi. Z kolei w zachodniej części miasta powstał 16-piętrowy apartamentowiec Aquamarina Onyx.

Także przy Promenadzie Gwiazd, tuż przy plaży, firma Siemaszko planuje dwa wieżowce 17-piętrowe (55 m wysokości, 300 apartamentów). Plan dopuszcza tu wysokość ponad 100 m. To działka po niedosłej Diamonds Tower. Lesław Siemaszko, właściciel i prezes firmy, zapowiada, że te budynki staną się ikoną Międzyzdrojów, że będzie jak w Saint-Tropez. Część mieszkańców boi się, że będą zacieniać plażę. Na razie start inwestycji blokują skargi właściciela sąsiedniej działki.

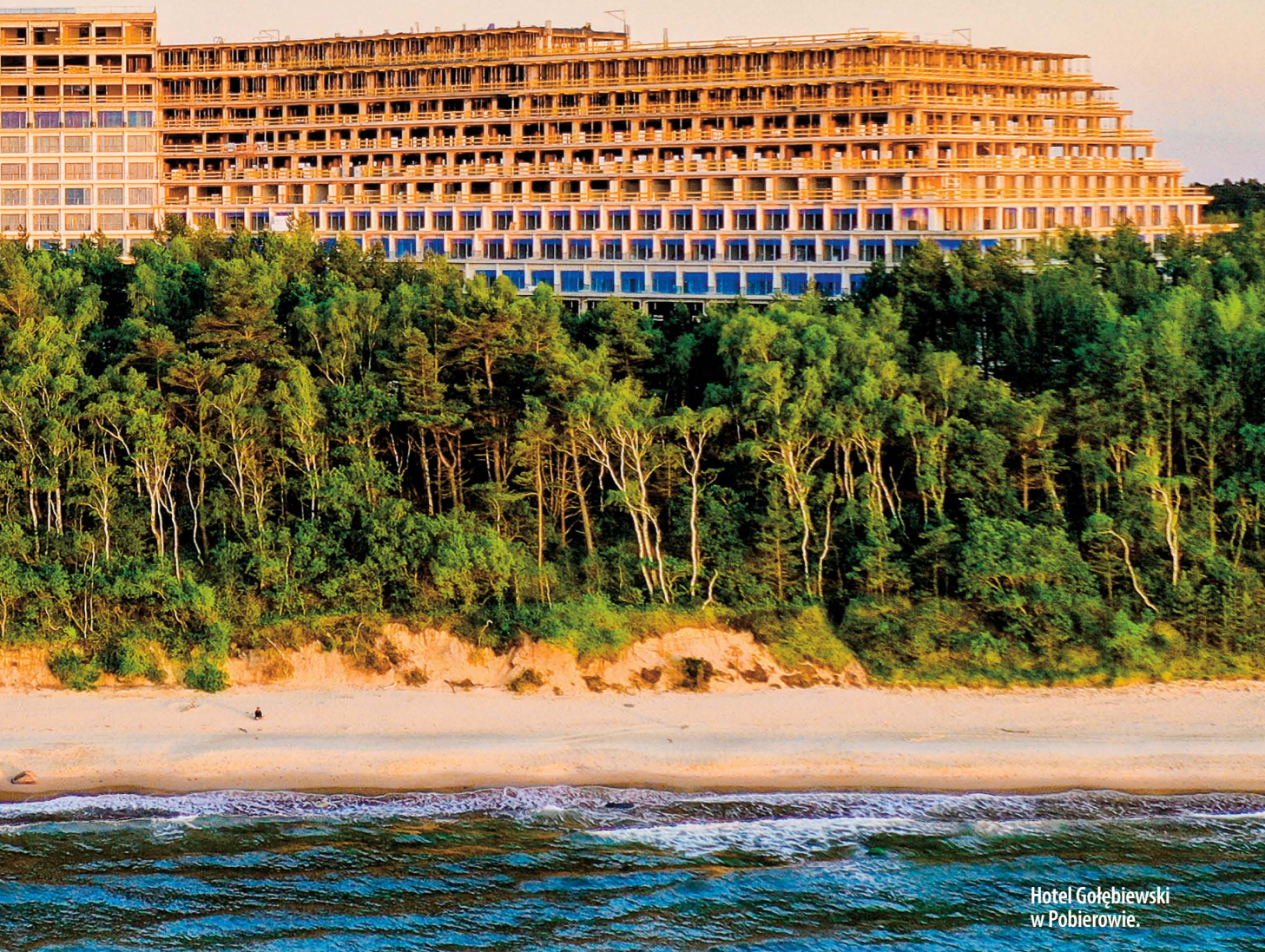
O kolejnych pięć wysokościowców pod nazwą Wave Apartments, zaledwie 60 m od plaży, do 2021 r. zamierza wzbogacić miasteczko Spółka Green House Development – 220 apartamentów w pierwszym etapie i 179 w drugim. Deweloper rekomenduje je zarówno amatorom drugiego domu nad morzem, jak i osobom, które chcą zarobić na wynajmie dla turystów. W kompleksie przewidziano recepcję, restaurację, strefę basenową, część sportową i plac zabaw dla dzieci. Na działce zaczęły się już prace ziemne.

Wieżowce Siemaszki mają być z jednej strony „podkrojone”, Wave Apartments – spiralnie poskręcane. Architekci powiedzą,

że te wygibasy są po to, by jak najwięcej pokoi miało widok na morze. Do tego wszechobecne balkony. W cieniu nowego nikną kameralne, zabytkowe pensjonaty, tworzące niegdyś klimat i charakter miejscowości. Zresztą tu i ówdzie czekano, aż się to stare wykruszy, żeby zbudować coś nowego, okazalszego.

Projektanci nowych obiektów nie próbują w żaden sposób nawiązać dialogu z otoczeniem, jakby dla nich w ogóle nie istniało. Zresztą czy taki dialog jest możliwy przy drastycznej różnicy gabarytów? „Można przyjąć, że Międzyzdroje to taka Polska w soczewce – mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Andrzej Pawełczyk, artysta, performer, architekt, mieszkaniec sąsiedniego Świnoujścia. – To, że mamy do czynienia z narastającą brutalnością architektury, z przesadzoną w skali, jak na tę wielkość miasta, wysokością budynków, to zaledwie jeden problem. Fakt, że pojawiają się chętni do kupna tak zwanych apartamentów w wieżowcach, to symptom problemu znacznie większego. Upraszczając, świadczy to niestety o niskiej kulturze materialnej Polaków. Pożądamy blichtru, uważając, że wyłącznie materialny sukces będzie potwierdzeniem ich pozycji społecznej”.

Można dyskutować – pożądamy blichtru czy bardziej zysków, które obiecuje deweloper? Jego interes jest oczywisty: zbudować jak najwięcej metrów kwadratowych na posiadanej działce, jak najwięcej lokali z widokiem na morze. W tzw. inwestycjach klasy premium ten widok fal podbija cenę metra o kilkanaście ►



Hotel Gołębiewski
w Pobierowie.